- Mateo, zrób nam zdjęcie!
- Czemu znowu ja?! Też chcę na nim być!
- Jedyne zdjęcie, jakie możesz mieć, to zdjęcie z boiska! Mati, co wpuszcza szmati.
Wszyscy wybuchli śmiechem. No, prawie wszyscy.
- Nie ma takiego wyrazu jak szmati, kretynie. – próbował się odgryźć Mateusz, ale nikt go nie słuchał. – Jestem stworzony do napadu! Dajcie mi szansę – kontynuował.
- Znasz zasady. Gruby na bramkę – odpowiedział mu Zygmunt, nieoficjalny kapitan. Jako jedyny na podwórku miał piłkę, więc każdy się go słuchał.
- Błagam was! – Mateo uklęknął.
- Dobra, dobra, następnym razem jesteś w napadzie.
- Na pewno? – nie dowierzał Mati.
- Na bank! – zapewnił kapitan.

- Klękaj, kurwa! – Zamaskowana postać z pistoletem celowała do ochroniarza.
- Mateo, nie celuj w niego! – krzyknęła inna zamaskowana postać.
- Bez imion, kretynie!
Napastnik z bronią był wyraźnie zdenerwowany.
- To nie jest twoje imię, zostaw go!
Ochroniarz postanowił wykorzystać moment nieuwagi bandziorów. Złapał za sakiewkę, którą trzymał ten bez pistoletu, po czym wyprowadził cios w środek jego twarzy. Reakcja nastąpiła natychmiastowo, jakby byli połączeni. Broń wypaliła. Mimo że laserowy celownik świecił się jeszcze chwile wcześniej na czole ochroniarza, kula przebiła jego rękę. Trafiony chciał uskoczyć, by kolejni posłańcy śmierci go nie dosięgnęli. Niestety, poślizgnął się i uderzył głową o posadzkę. Sakiewka poszybowała pod sufit, a jej zawartość rozsypała się po podłodze. Dwie zamaskowane postacie, które nie brały udziału w całym zamieszaniu, pośpiesznie zaczęły zbierać złote monety.
- Chłopaki, spierdalamy, bo jesteśmy spaleni!
Z kapitanem nie było dyskusji. Biegli tak szybko, że Stefanowi spadła peruka, odsłaniając jego łysą glacę.

Pół godziny później w jakimś opuszczonym magazynie…
- Co to, kurwa, miało być?! – wkurzony Zygmunt cisnął kominiarką.
- Kapitanie, Mateusz oszalał. Chciał zabić tego biednego człowieka – odezwał się Stefan.
- Ty się nie odzywaj, o tej twojej afro peruce jeszcze pogadamy!
- Chciałem ich zmylić, żeby myśleli, że napada ich Afroamerykanin. Nawet czarne rękawiczki założyłem – tłumaczył się Stefan.
- A teraz wiedzą, że to był zwykły łysy debil. Zamknij się już. – Kapitan skierował wzrok na Mateo i kontynuował – mówiłem ci, że masz stać przy wejściu, na wysokości bramek.
- Od dziecka mną pomiatacie! Kto wymyślił tę głupią zasadę, że gruby zawsze na bramkę?! – krzyczał Mati, wymachując spluwą.
- Jakie to ma teraz znaczenie, co ty pieprzysz?! – zdziwił się kapitan.
- Hahaha, gruby na bramkę, a ty mu kazałeś stać przy bramkach do wykrywania metalu, hahaha – parsk-

nął śmiechem Zdzisław, który do tej pory był cichy jak coś niesamowicie cichego.
- O! Następny dobry się odezwał! Po kiego grzyba ci ta peleryna? To nie jest film! – powiedział Zygmunt i widząc jak pytany chce coś odpowiedzieć, przerwał mu, zanim tamten zaczął – milcz, nie chcę wiedzieć! – po czym kontynuował, trochę sam do siebie - już widzę te jutrzejsze nagłówki gazet. Gang Olsena przy nas to geniusze.
- To są ci zza rzeki, z którymi kiedyś wygraliśmy w gałę? – odezwał się w końcu Mateusz.
- Tak, grubasie, to właśnie oni, a wygraliśmy z nimi, bo byłeś chory i nie przyszedłeś na mecz.
- To film, deklu – wtrącił się Stefan.
- A mówiłeś, że to nie film. Ha! Peleryna się przydała – uzupełnił triumfalnie Zdzisław.
- Aaaaa! Nie wytrzymam! – Kapitan złapał się za głowę, bo czuł, że zaraz mu ją rozerwie i myślał, że to może pomóc. – I co ty tak ciągle się uśmiechasz pod nosem? Nie widzisz, że mamy przesrane?!
- Cieszę się, bo za swoją część kupie sobie wielki dom z kortem tenisowym i kręgielnią i nie będę musiał więcej z wami grać w te kretyńską piłkę nożną – odpowiedział Zdzisław i splunął z pogardą, robiąc pauzę między „piłką" a „nożną".

- O, kapitanie! Mój kapitanie!* - Anielski głos odbijał się od pustych ścian, dudniąc jakby dochodził z piekła. Do tego jeszcze to stukanie. Przypomniała im się ich wychowawczyni z podstawówki, która stukała długopisem o biurko, kiedy była wkurzona.
- O, kapitanie, mój kapitanie. – Głos był coraz głośniejszy.
- Nie dam rady – powiedział Mateo, podnosząc pistolet trzęsącą się ręką. – To się musi skończyć – oznajmił, wycelował i pociągnął za spust.
- Grubasie, coś ty najlepszego narobił?! – Kapitan podbiegł do Mateusza i zaczął okładać go po twarzy z otwartej dłoni. – Wstawaj! – krzyczał.
- Zygmunt, zostaw. On nie żyje, pierwszy raz w życiu trafił i od razu samobój – skwitował Stefan.
- Nie! To nie może się tak skończyć! – nie dawał za wygraną Zygmunt. Trząsł leżącym kolegą jak pełną świnką skarbonką i płakał. – Obudź się, błagam.

- Co? Co się stało? – odezwał się Mateusz ledwo słyszalnym szeptem.
- Ocknął się! On żyje! – krzyczał uradowany kapitan – dostałeś piłką w głowę, leż spokojnie – tłumaczył mu.
- Jak to piłką? Dlaczego? Gdzie ja jestem? – pytał, wyraźnie zdezorientowany.
- Już dobrze, obiecuję, że teraz już zawsze będziesz w napadzie – zapewniał go.
- Co?! Napad?! Ja nie chcę! Chcę na bramkę, zawsze na bramkę! Błagam, nie napad!

*O, kapitanie. Mój kapitanie! – tytuł wiersza Walta Whitmana

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gramofon, dodano 23.06.2022 19:34

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.